



Ukrywający się i ratujący.  
Saska Kępa i Grochów w czasach Zagłady

# Sprawiedliwi w sprawiedliwym świecie

Niemalże wszyscy urodzeni nad Wisłą, i to nieomalże od dziecka, znają – co można chyba założyć – przynajmniej kilka faktów ważnych dla tematu Zagłady.

I tak: Dość powszechnie wiadomo: że podczas II wojny w okupowanej Polsce Niemcy zamykali Żydów w części miasta otoczonej murem, którego przekroczenie karane było śmiercią; że Żydzi umierali tam z głodu; że niektórzy Polacy – ryzykując życiem – udzielali im pomocy: najpierw dostarczając żywność do getta, później przechowując zbiegów z dzielnic zamkniętych. Ratowali ich w ten sposób przed śmiercią w komorach gazowych tzw. ośrodków zagłady.

Dla nikogo nie powinno być już – i chyba nie jest – tajemnicą, że niektórzy Polacy – eufemistycznie rzecz określając – czynnie uczestniczyli w zorganizowanej przez Niemców zbrodni na Żydach. Kierując się różnymi motywami. Pewna postać tego zjawiska znana jest pod nazwą szmalcownictwa.

I wiadomo jeszcze, że w Warszawie na obszarze otoczonym murem w 1943 wybuchło żydowskie powstanie. Nielicznym z tym wydarzeniem kojarzy się nazwisko Mordechaja Anielewicza. Zapewne nieco większej grupie zainteresowanych mówi coś nazwisko Marka Edelmana. Niektórym znana jest nazwa Żydowska Organizacja Bojowa.

Wiemy też – ale to już historia powojenna – że

w Polsce jest najwięcej odznaczonych izraelskim medalem

## *Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.*

Polskich Sprawiedliwych – już bardzo niewielu żyje pośród nas, wkrótce nie będzie już żadnego – jest więcej, co lubimy to powtarzać, niż w każdym innym kraju. Choć i tak nie każdy Polak, który wtedy z narażeniem życia pomagał Żydom, to najwyższe izraelskie odznaczenie cywilne, przyznawane od 1963 roku przez jerozolimski instytut Jad Waszem, otrzymał.

Choćby – naszym zdaniem – na tytuł Sprawiedliwego zasługiwał.

Cóż, medal statutowo przyznawany jest pojedynczym osobom i całym rodzinom które – z narażeniem własnego życia – ratowały Żydów. Ale – uwaga! – do składania wniosków uprawnieni są sami uratowani lub ich bliscy. Uratowany musi być – naturalnie – Żydem, ale osoba, która ocaliła mu życie nie może być narodowości żydowskiej, a z jej działalnością nie może się wiązać jakakolwiek rekompensata.

W kwestii medalu trzeba się z tym pogodzić, a materii tytułu Sprawiedliwego – już niekoniecznie.

Choć problemowi Polaków niosących pomoc Żydom w epoce Holokaustu – określać ich tutaj będzie, mianem Sprawiedliwych – daleko do rozwiązania.



Najpierw w wymiarze poznawczym. Ale bynajmniej nie dlatego, byśmy mieli kłopoty z pamięcią. Tylko dlatego, że nasza pamięć jest wybiórcza.

Co człowiek naprawdę ciekawy – zadając sobie nieco trudu – może sprawdzić. Sięgając po którąkolwiek z tysięcy książek już napisanych na temat Holokaustu. I w ogóle nie szkodzi, że tylko ich bardzo niewielka część traktuje – intencjonalnie – o pomocy dla Żydów. Ale za to, zauważmy, absolutnie wszystkie, bez żadnego, najmniejszego nawet wyjątku, odpowiedzą na pytanie – jeśli je tylko zadamy – jak trudno było Sprawiedliwemu.

Ocalić – ratując jedno życie – cały świat.

I wcale nie tylko dlatego, że przyszło mu żyć w świecie opanowanym przez narodowy socjalizm w wydaniu niemieckim.

Ale dlatego też, że przyszło mu żyć w świecie, tym opanowanym przez narodowy socjalizm, samotnie.

Bo Sprawiedliwy był – bardziej niż często – sam w swoim własnym narodzie, w swojej własnej społeczności, nawet w najbliższej rodzinie.

Nad czym warto się zastanowić.

Na awersie każdego z ponad 26 tysięcy medali przyznanych przez jerozolimski Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu (Jad Waszem) jest – obok nazwiska Sprawiedliwego – inskrypcja w języku hebrajskim: Wdzięczny naród żydowski.

Czy Sprawiedliwi nie zasługują też na naszą wdzięczność?



# Saska Keça

# Mieszkanie (suterena) na ulicy Radziłowskiej 5



Osoby ukrywające: Leokadia „Lodzia” Pycek (1905-1976)

Osoby ukrywające się: Peretz Hochman (1927-2013), Zalman „Zenek” Hochman (1931-1996), Jankiel/Jack Klajman (1931-2019), Józef/Joseph/Josef/Yosef Szapira/Shapiro/Shapira (1930-2016), Józef Zysman/Ziemian (1922-1971), Josek „Kulas” Szindler (1928-c. 1944), „Mały Stasiak”

Medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata: tak (1996)

Radziłowska 5: pięciokondygnacyjna modernistyczna kamienica czynszowa, wzniesiona w 1935 dla Wacława Lacherta według projektu jego syna Bohdana, który sobie samemu – kilka ulic dalej: na Katowickiej 9 – zbudował, inspirując się wyraźnie Le Corbusier’em, dom już wcześniej.

O każdym z obu budynków można powiedzieć, że to naprawdę dobry dom. A nawet – od pewnego momentu – najlepszy. Jednak nie tylko, ani nawet nie głównie ze względu na architekturę.

Ale dlatego, że późną jesienią 1943 dobiegająca czterdziestki dozorczyńi domu na Radziłowskiej, samotnie (mąż odszedł od niej w początkach wojny) wychowująca – w jednoizbowym mieszkaniu w kondygnacji podziemnej (obecnie pomieszczeniu piwnicznym) – córki Irenę i Marię, ledwie wiążąca koniec z końcem (dorabiała sobie m.in. praniem), natrafiła na śpiącego – między pojemnikami na śmieci – chłopca.

Zabrała go do siebie, umyła, nakarmiła, przebrała. I dała czyste ubranie. Oraz – na wiele, wiele miesięcy – naprawdę dobry dom. Może nawet najlepszy.

W którym to tzw. dobrym domu w tzw. dobrej

dzielnicy – choćby z racji zajęcia, statusu społecznego czy materialnego – dotychczas była, co tu ukrywać, lokatorem trochę minorum gentium (niższego rzędu). Ale teraz – kiedy uczyniła ten dobry dom najlepszym – stała się primus inter pares (pierwszą wśród równych). Co prawda na bardzo długo – jeśli w ogóle to zauważyła – tylko we własnych oczach. Ale jeśli choć pomyślała o tym sui generis (jedynym w swoim rodzaju) awansie, mogło być jej – w bardzo trudnej sytuacji – trochę łatwiej.

Bonaprawdę dobra pani z Radziłowskiej 5 – w czasie, o którym mowa – stanęła przed ogromnym wyzwaniem. W pełni świadomie. Musiała już bowiem – późną jesienią 1943 – zdawać sobie sprawę, że Żydów w Warszawie – wiadomo dlaczego – już w ogóle być nie powinno. A jeśli nawet byli, to absolutnie i w żaden sposób nie wolno i nie należało im pomagać. Też wiadomo dlaczego. I właśnie m.in. dlatego do tego – najtrudniejszego w życiu okupowanej Warszawy – przystąpiła.

Co prawda, kiedy znalazła chłopca na pewno nie wiedziała, że ma na imię Jankiel, że jest synem kuśnierza Mendla i Ity z domu Friedmacher, że jego rodzice zmarli w getcie na tyfus, a siostrę zamordowano w Treblince,

ani że po powstaniu w getcie pracował i nocował na saskołępskich ogródkach działkowych, ani że – jako jeden z kilkunastu ukrywających się żydowskich dzieci – będzie zarabiał, sprzedając Niemcom papierosy i gazety w śródmieściu Warszawy.

Ale za to od razu wiedziała, że jest Żydem: z wszystkimi wynikającym z tego faktu – w tym czasie i miejscu – ewentualnościami. Wybrała – z siebie tylko znanych powodów – tę najtrudniejszą.

Nie wiedziała natomiast wtedy, że wkrótce będzie opiekowała się, karmiła i nocowała kilku innych nastoletnich „papierosiarzy z Placu Trzech Krzyży”. Z niewielkim wsparciem materialnym konspiracyjnego Żydowskiego Komitetu Narodowego.

Pewnie nie wiedziała także, że Talmudzie jest zdanie: *jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat.*

Ale swoje wiedziała.

I chłopiec – później – mógł mieć czworo dzieci: Marka, Irvinga, Edwarda oraz Brendę. I każdy z wymienionych na pewno miał swój dobry dom. Zbudowany na fundamencie domu najlepszego.

# Mieszkanie w domu przy ulicy Wąchockiej 15

Osoby ukrywające: Zofia Bandurska-Hermanowa (?-1942)

Osoby ukrywające się: Marek/Markus Przeworski (1903-1943) i Paulina Hirsch (1902-1974)

Medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata: nie

Cmentarz żydowski na Okopowej, kwatera pierwsza, rząd trzydziesty.

Miejsce ostatniego spoczynku – urodzonego 15 października roku 1903 – absolwenta Politechnik Warszawskiej, znanego księgarza Marka Przeworskiego. Kierującego – po przedwczesnej śmierci swego ojca Jakuba w 1935 roku – wydawniczym biznesem. Rozwijając go i wypracowując mu pozycję jednej z czołowych oficyn w II Rzeczypospolitej. Miał dwoje rodzeństwa, w tym na pewno siostrę. Co wiemy z inskrypcji nagrobnej.

Nigdzie nie ma śladu o tym, by założył własną rodzinę.

W getcie prowadził – na Lesznie 50 – księgarnię i czytelnię. O czym informuje ogłoszenie w „Gazecie Żydowskiej”, gadzinówce, kolportowanej w dzielnicy zamkniętej.

Z której – nie wiadomo dokładnie kiedy – zbiegł. W opisanych bardzo lakonicznie okolicznościach.

I to jest prawie wszystko, co o Przeworskim wiadomo na pewno. Nad całą resztą jego życia figuruje niejeden – mniejszy lub większy – znak zapytania. Bo świadectwom, którymi dysponujemy, nie można ufać. Za bardzo i za często przypominają znaną prawdę, tę

mianowicie, że tzw. rzeczy naocznie widziane w ogromnej części widziane były przez innych ludzi.

Żadne obiekcje nie dotyczą – oczywiście – samego faktu jego życia po tzw. aryjskiej stronie i faktu jego śmierci tamże.

Ale już jej dokładna data: 8 marca 1943 może budzić wątpliwości. A taka właśnie figuruje na grobie wystawionym przez siostrę. W którym jednak pochowano Przeworskiego dopiero po wojnie. Bo cmentarz żydowski – z oczywistych powodów – ani w 1943, ani w roku następnym – jako miejsce jego pochówku – nie wchodził w rachubę.

Wydaje się, że jedyną osobą, która datę, okoliczności jego śmierci – oraz miejsce pierwszego ostatniego spoczynku – mogła znać i przekazać rodzinie, był ktoś mieszkający w bliskim sąsiedztwie kryjówki Przeworskiego, może nawet uczestniczący w pierwszym prowizorycznym pochówku. Jednym słowem: godny zaufania sąsiad.

Przeworski ukrywał się w należącym do niego – zaprojektowanym przez Stanisława Barylskiego – domu na Saskiej Kępie. W przystosowanej do tego sprawiedliwego celu celu piwnicy. Nie wiemy natomiast, czy w ogóle –



przed wojną – na Wąchockiej 15 mieszkał. Może tylko wynajmował mieszkania. Może ludziom, których – przynajmniej niektórych – dobrze znał.

Może takim – dobrze znanym Przeworskiemu – lokatorem była mieszkająca tam – wraz z mężem, wychrzczonym Żydem i wychowanicą, również Żydówką – Zofia Bandurska-Hermanowa. Co się działo z jej własną rodziną w latach okupacji źródła milczą. W każdym razie – można domniemywać – na Wąchockiej się nie ukrywali. Może poszli do getta.

W którym sama Bandurska bywała natomiast regularnie. Niejasne w jakim – oficjalnie – charakterze. Nieoficjalnie natomiast wywoziła stamtąd – w wozach ze śmieciami – żydowskie dzieci.

Nie tylko dzieci. Wśród pierwszych wywiezionych była – nie wiadomo jak liczna – rodzina Przeworskich. Dla której członków znalazła – nie wiadomo gdzie – meliny, a tylko samego Marka P. wzięła do siebie do mieszkania.

Ukrywał się tam – zapewne tak spokojnie, jak pozwalały okoliczności – do marca 1943. Ósmego dnia tego miesiąca wydarzenia nabrały przyspieszenia. Bo na Wąchocką 15 trafili tzw. szmalcownicy, podobno żydowscy agenci Gestapo. Wiadomo po co przyszli: po pieniądze.

Według powojennej relacji Przeworski miał – w trakcie, nazwijmy to tak, negocjacji z napastnikami o wysokość wykupu – odkryć tożsamość jednego spośród nich, albo po prostu

rozpoznać osobę pochodzenia żydowskiego. Co wzbudziło u niego zdziwienie i – niestety – werbalne oburzenie. Reakcją – natychmiastową – zidentyfikowanego szantażysty był strzał z pistoletu – natychmiastową – śmierć ukrywanego. Jego ciało – jak wiemy, po wojnie ekshumowane – Bandurska-Hermanowa, z pomocą dozorczyńi, zakopała nocą w ogrodzie.

Tak przynajmniej zrelacjonowała – w 1945 – marcowe wydarzenia na Saskiej Kępie Paulina Hirsch. Ukrywająca się – ale wcale nie na Wąchockiej – Żydówka, której – w swoim czasie – gospodyni Przeworskiego pomogła, meldując ją w swoim mieszkaniu i dostarczając tzw. aryjskich papierów.

Skąd je znała?

Na pewno nie od Bandurskiej, bo ta Sprawiedliwa też – jako że zaszczości z 8 marca miały swój ciąg dalszy i równie tragiczne konsekwencje – wkrótce zginęła. Może więc od wspomnianej już dozorczyńi domu Wąchocka 14: sąsiadki na medal?

I jeszcze jedno, na koniec:

Kiedy się czyta relację Pauli Hirsch, której tworzywem były – głównie, ale nie jedynie, jak już wiemy – jej własne losy, przychodzi na myśl, że ta ocalona z Holokaustu – świadoma wagi wydarzeń, w której przyszło jej uczestniczyć – wiedziała, że musi dać świadectwo całej prawdzie. Tej przeżytej, tej naocznie widzianej. I tej zasłyszanej też.



# Dom przy ulicy Katowickiej 9

Osoby ukrywające: Bohdan i Irena (z Nowakowskich) Lachertowie

Osoby ukrywające się: sześciu ich małoletnich żydowskich podopiecznych, w tym Piotr Goldberg

Medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata: tak

Rankiem 1 września 1939 roku małżeństwo Lachertów (obydwoje mniej więcej czterdziestoletni) wysłuchało – zapewne razem, w ich domu na Katowickiej 9 – radiowego komunikatu o ataku Niemiec: A więc wojna! Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory – weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa.

Nie wydaje się, by Bohdan i Irena (de domo Nowakowska) specjalnie potrzebowali tego apelu.

On był – bądź co bądź – uczestnikiem, w szeregach 2 Pułku Ułanów Grochowskich, wojny polsko-bolszewickiej, ona zaś w całym międzywojniu – zaangażowaną działaczką społeczną, oboje – inteligentami postępowymi, demokratycznymi, lewicowymi (wszystko to w niezdevaluowanym jeszcze sensie tych określeń, kiedy oznaczały one niezgodę na otaczające: wszelką krzywdę, nierówność i zło, a nie afirmację politycznego systemu). Nie były to tylko deklaracje światopoglądowe: za sprzeciw wobec getta ławkowego Bohdan w 1937 zapłacił utratą etatu na Politechnice Warszawskiej.

Więc można było spodziewać się, że po wrześniowej klęsce nie wzruszą ramionami na historię. Co bieg wydarzeń potwierdzić miał w całej rozciągłości.

I tak: dom ich stał się w okresie okupacji punktem

– nie punkcikiem! – na mapie konspiracji warszawskiej. Miejscem konspiracyjnych narad i szkoleń, ogniwem kolportażowym prasy podziemnej, w garażu stały samochody Kedywu, podobno odbywały się tam nawet zebrania Komendy Głównej AK.

Stała za tym – można sądzić – Irena, która bardzo wcześniej została członkiem ZWZ.

O Bohdanie natomiast wiadomo, że w okresie okupacji uczył architektury na tajnych kompletach oraz że brał udział w przygotowywaniu teoretycznych studiów odbudowy Warszawy.

Ale to nie było wszystko! Zaistniało bowiem jeszcze coś specjalnego, czego jakimś tam początkiem była wizyta Lachertowej w niezamkniętym jeszcze getcie. Wyniosła z niego – co potem wspomniała – niezapomniane wrażenie, jakby zamykało się wieko trumny nad tysiącami żywych i uczucie zawstydzenia, że mnie wolno wyjść.

To wrażenie wynosiła i ten wstyd odczuwała chyba trochę też i w imieniu męża.

Bo w czerwcu 1941 roku Lachert, który nie musiał wejść, wyprowadził bowiem z getta przez gmach Sądów na Lesznie (istniała taka możliwość) – na prośbę kolegi-architekta Maksymiliana Goldberga – jego syna, dwunastoletniego Piotra. Któremu nie wolno było wyjść.

Chłopiec – zanim nie znaleziono dla niego bezpieczniejszego locum – ukrywany był w domu na Katowickiej. Potem trafił do ich przyjaciół, otrzymał

aryjskie papiery, dzięki czemu udało mu się – już jako Piotrowi Godlewskiemu – działać w Szarych Szeregach, wziąć udział w Powstaniu Warszawskim (batalion „Oaza”), a przede wszystkim przeżyć wojnę. I zostać potem znanym tłumaczem literatury czeskiej. I – naturalnie – ojcem. (Jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat).

Piotruś Goldberg był na Katowickiej pierwszy ukrywanym, ale nie ostatnim. W ciągu następnego półtora roku trafiło tam jeszcze pięcioro małoletnich z getta. Czy były to dzieci znajomych Lachertów, czy podopieczni Rady Pomocy Żydom („Żegota”), z której działaczami Irena miała kontakty – nie wiadomo.

Ale można być pewnym, że dom Bohdana i Ireny, stał się dla nich wszystkich – na krócej lub dłużej – najlepszym domem.

Który to dom – nawiasem mówiąc – uważany jest za jeden z najbardziej udanych projektów Bohdana Lacherta i zarazem wyjątkowo udane ucieleśnienie idei funkcjonalizmu. Jakie są cechy konstytutywne tego kierunku w architekturze – nie jest tutaj istotne. Ważne jest bowiem tylko, że budynek na Katowickiej 9 był – o czym się największym architektom pierwszych dekad XX wieku nawet nie śniło – funkcjonalny inaczej. A mianowicie bardzo funkcjonalny patriotycznie i bardzo – w wymiarze niezgody na krzywdę – funkcjonalny lewicowo. O czym właśnie była wyżej mowa.





# Dom na ulicy Zakopiańskiej 31

Osoby ukrywające: Jan Rendzner (1891-1976), Janina Rendzner (1915-1982), Zofia Czerwosz z d. Rendzner (1919-2009)

Osoby ukrywające się: Magdalena Gross-Zielińska (1891-1948)

Medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata: nie

Urodzona w 1891 Magdalena Gross to córka Norberta i Róży z Okrętów. Jej dziadek Rudolf Okręt był uczniem warszawskiej Szkoły Rabinów, a tak w ogóle Okrętowie to bardzo szacowna rodzina polsko-żydowskich kupców, księgarzy, wykładowców, dziennikarzy, wydawców gazet. Oraz – last but not least – zwolenników asymilacji.

To ostatnie odziedziczyła i twórczo w sobie rozwinęła. Kiedyś miała nawet powiedzieć, że żydowski pozostał jej tylko nos, bo ona czuje się – jak to nazwała – aryjką. Chyba dobrze, że Okrętowie tego nie mogli usłyszeć.

Poza tym jednym Grossówna – niedaleko pada jabłko od jabłoni – wstydu rodzinie nie przyniosła. Też – osiągając cele dla innych niedostępne – została kimś niebyle kim: na pewno bardzo dobrą rzeźbiarką, może nawet wielką artystką.

Sukces artystyczny musiał stać się jej udziałem, bo miała nie tylko charakter i poglądy, ale i niemały talent oraz konsekwencję w poszukiwaniach twórczych, oraz – kiedy najbardziej tego potrzebowała – szczęście do ludzi. Niestety – z powodu w/w nosa – życie miało się jej jakoś niewłaściwie urozmaić.

O czym poniżej:

Najpierw studiowała sztuki piękne w Warszawie

i we Florencji. Jej kameralne rzeźby (portretowe popiersia w brązie, w czym się początkowo specjalizowała) można było oglądać w warszawskiej Zachęcie już w roku 1915, potem – jeszcze kilkakrotnie – w latach następnych. Kilkanaście lat później miała tam pierwszą wystawę indywidualną.

Być może boleśnie, ale – bez większych strat, a nawet z zyskami – przeszła przez kryzys twórczy.

W latach trzydziestych przestała mianowicie – na czas jakiś – przedstawiać rzeźbić ludzi, a zaczęła rzeźbić – głównie – zwierzęta, zwłaszcza ptaki. Podobno impulsem stała się przypadkowa wizyta na Ratuszowej: w stołecznym ogrodzie zoologicznym. Na pewno natomiast zaprzyjaźniła się z dyrektorem ZOO Janem Żabińskim i jego żoną Antoniną.

Jakkolwiek to było, ta część jej twórczości – animalistyka – miała przynieść jej rozgłos, nowe wystawy i pierwsze nagrody. Znajomość z Żabińskimi – jeszcze więcej. To ostatnie zaowocowało nieoczekiwane i w niespodziewany sposób, bo wojny – albo przynajmniej takiego rezultatu wojny z Niemcami – nikt się nie spodziewał. Ale stało się!

Niejasne jest, czy w 1939 Grossówna wkłada choć raz opaskę z gwiazdą Dawida, ale wiadomo, że

jesienią następnego roku, kiedy utworzono w stolicy getto, pozostaje – używając nazwiska Gościmska – po tzw. aryjskiej stronie. Z powodu jej semickiego wyglądu, o czym była już dwa razy mowa (oraz ze względu na tzw. szmalcowników, bez wspomnienia których w tym miejscu obejść się nie można) staje się to coraz trudniejsze i coraz bardziej niebezpieczne.

Zwraca się więc o pomoc do Żabińskich, którzy ukrywają ją na czas jakiś – obok bardzo wielu innych Żydów – w swojej willi w ogrodzie zoologicznym. Odwiedza ją tam, żyjący na tzw. aryjskich papierach, przyszły mąż Maurycy Fraenkel (przez kilka tygodni mieszkają razem w Aninie u – nieznanej z imienia – p. Dewitzowej, ale wracają do ZOO).

Kiedy sytuacja na Ratuszowej zaczyna się pogarszać, Żabiński – mający kontakty z Radą Pomocy Żydom – szuka dla Grossówny nowego locum.

Sprawa trafia do – stale współpracującej z „Żegotą” i Żydowskim Komitetem Narodowym – Janiny Bucholtzowej. To znaczy chyba w najlepsze – w tym momencie!!! – dla tej Żydówki miejsce w Warszawie.

Gdzie – jak napisał po wojnie działacz ŻKN – masowo przechowywano i rozdawano „aryjskie” dokumenty, przekazywano dla setek ukrywających Żydów zasiłki.



Brzmi to niewiarygodnie, ale jest prawdą: przynajmniej część uciekinierów z getta – wcale nie tak mała jak myślimy – pozostawała zbiorowością nieprzypadkową, oraz – przynajmniej częściowo – zorganizowaną planowo. Po to, aby realizować pewne dążenie. Którym było oczywiście – dla wszystkich, ale nie dla wszystkim jedynym – przetrwanie. Nie tylko w wymiarze biologicznym.

A co do wspomnianego „tego momentu”, jest to maj 1943, dogorywa walczące getto, Niemcy dosłownie polują na ulicach miasta na żydowskich zbiegów.

Aby Magdalena Gross wówczas przetrwała, ktoś nowy musi się pojawić na scenie jej dramatu. By – w śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji – zachowywać się wyjątkowo odważnie przez dłuższy czas, by dokonywać – narażając nie tylko swoje życie – dokonać, rozłożonego w czasie, niezwykłego czynu. By się taka osoba znalazła, potrzebny jest jeszcze przypadek, nadzwyczajny zbieg okoliczności, korzystny splot wydarzeń, szczęśliwy traf, sprzyjające zrządzenie losu. Może nawet ręka opatrności.

I coś z tego właśnie się zdarza: do Bucholtzowej trafia Janina Rendznerowa. Która zwierza się dawnej koleżance z kłopotów materialnych: jedyną osobą w domu na Zakopiańskiej 31, która zarabia, jest jej pięćdziesięcioletni mąż Jan Rendzner, zatrudniony jako inżynier w elektrowni. Bucholtzowa – jak napisać miała wiele lat po wojnie jej córka Barbara – powiedziała mojej mamie, że zna Żydów, którzy za przechowanie są gotowi zapłacić.

Młodej Rendznerówny – a szkoda – przy tej rozmowie nie było. I nie może nam powiedzieć, czy Janina Bucholtz zaproponowała jej matce udzielenie schronienia Magdalenie Gross, dlatego że była ona pierwsza na jej waiting list, bo najdłużej czekała albo była najbardziej zagrożona; czy może dlatego, że była znaną rzeźbiarką. Dla której dom Rendznerów na Saskiej Kępie był idealnym rozwiązaniem. Można też zapytać, czy wstępna zgoda pani Rendzner nie była podyktowana podobnymi pobudkami.

Nie ma odpowiedzi na te pytania, ale jest ciąg

dalszy relacji Barbary Rendzner:

Zrobiliśmy rodzinną naradę, włącznie z naszą gosposią Manią. I wszyscy, jednogłośnie się zgodzili. Wtedy i tak można było umrzeć za wszystko: za słoninę, za mięso, więc nie było większej różnicy za co zginiemy. Płacili nam tyle, żeby starczało na utrzymanie ich dwojga [Grossówny i Fraenkela] i matki z dwiema córkami. Ojciec nie był w to wkalkulowany – liczyła się jego pensja. Pod koniec wojny Magdalena martwiła się, że kończą się im pieniądze i nie będą mieli się gdzie podziać. Moja matka uspokajała ją, mówiąc, że najwyżej cała rodzina będzie jeść same kartofle, a oni dwoje zostaną z naszą rodziną jak długo trzeba będzie. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniliśmy.

O tym, że wszyscy na Zakopiańskiej 31 jakoś tam byli zaangażowani w konspirację, w tej relacji mowa w innym miejscu. Także o tym, że Niemców na ulicach Saskiej Kępy widywało się rzadko, pojawiali się raczej okazjonalnie, z konkretnego powodu.

Niemniej Magdalena G. musi – przez następne półtora roku – przestrzegać surowych zasad. Nie wolno jej podchodzić do okna (jednak raz ktoś z mieszkających w pobliżu napomyka Rendznerom, że widział poruszającą się firankę w pokoju na poddaszu, ale na szczęście nic nikomu nie powiedział). Do łazienki schodzi się po wcześniejszym porozumieniu. Ustala się hasło, które miało ostrzegać nowego domownika o każdym przyjsciu kogoś obcego do domu. Obcym, czyli zagrożeniem, byli – jakżeż fatalnie to dziś brzmi! – sąsiedzi.

Nie wszyscy: mieszkający niedaleko (Nobla 23/25) kolega po fachu Adam Procki dostarcza jej materiałów koniecznych do pracy artystycznej. Bo rzeźbiarka, ukrywając się, tworzy portret Janiny Rendznerowej; wytwarza też – na zamówienie niezidentyfikowanej organizacji podziemnej, przy współudziale Prockiego przy produkcji „seryjnej” – gipsowe figurki tzw. Madonny Podziemnej.

I jeszcze jedno:

W tej historii Sprawiedliwych między narodami świata z Zakopiańskiej, podobnie jak w opowieściach

o wielu innych Polakach ratujących Żydów, pojawia się jeszcze – nazwijmy to tak – cichy bohater, działający bez rozgłosu wtedy i dziś: pieniądze. Od których wszystko się zaczęło i bez których – wiadomo – ani żyć, ani ukrywać się nie da. Ale które jakby dewaluują nieco... bohaterstwo Rendznerów. Bo Sławianie, my lubim sielanki...

(Nawiasem mówiąc: nie wiemy, czy sumy otrzymywane comiesięcznie przez nich pochodziły z zasobów Magdaleny Gross, czy może była to pomoc finansowa „Żegoty” lub Żydowskiego Komitetu Narodowego).

Czego by o całości tej sprawy nie myśleć, jedno tylko jest pewne: naprawdę kompetentni w materii oceniania tej sytuacji i tych ludzi są tylko dwie osoby: ocaleni Magdalena Gross i Maurycy Fraenkel. Więc niech tylko ich głos będzie wysłuchany. My – na ten temat – możemy tylko milczeć.





# Mieszkanie w domu przy ulicy Nurskiej 4

Osoby ukrywające: Juliusz Saloni (1916-2011), Jadwiga Strzelecka primo voto Saloni (1913-2007), Julian Saloni (1891-1963)

Osoby ukrywające się: Irena Teresa Dąb Jinich (?-2016), Barbara Dąb, Józef Dąb, Henryk Krupnik, Jurek Milejowski

Medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata: tak (1993)

Rozpoczynająca swój bieg od ulicy Poselskiej, nieposiadająca wylotu ulica Nurska, w istocie uliczka na Saskiej Kępie: całej długości 65 metrów, zaledwie 6 niewielkich domów. Wszystkie z lat trzydziestych. Ten pod numerem 4 to jednopiętrowa funkcjonalistyczna kamienica. Wielorodzinną: cztery mieszkania – a faktycznie mieszkanca – na dole, cztery na górze.

Mieszkanie nr 3: dwa małe pokoje z kuchenką we wnęce, której okno wychodzi na garaż. Okupacyjni lokatorzy tegoż: wojenne młode małżeństwo.

O nim: Juliuszu Bożydarze Salonim wiemy sporo:

urodzony w 1916, przed wojną dwa lata psychologii na UW i podchorążówka;

lewicowe – organizacyjnie zakotwiczone – poglądy; urobione na bazie własnych doświadczeń z czasów zamieszkiwania na Lesznie róg Żelaznej, także studiów oraz licznych „mieszanych” kontaktów towarzyskich – przekonania na temat Żydów, nie żeby filo-, ale na pewno krytyczne wobec anty-, słowem: egalitarne bez egzaltacji, może jeszcze z lekką nutą współczucia, wywołanego widokami nędzy na Nalewkach.

Kampania wrześniowa 1939 oczywiście w mundurze. Z epoletami podchorążego, później podporucznika. Potem konspiracja.

Ona natomiast: niewiele starsza Jadwiga Saloni,

przed wrześniem absolutorium z psychologii, jeżeli różniąc się czymś od męża, to na pewno nie poglądami. We wrześniu 1939 pracuje w szpitaliku na Saskiej Kępie, zorganizowanym przez – mieszkającego wtedy tuż obok: na Obrońców 27 – Ludwika Hirszfelda.

O użytkownikach innych lokali na Nurskiej 4 wiadomo tyle tylko, a właściwie – żeby sprawiedliwie powiedzieć – aż tyle, że Jadwiga, zaraz po wojnie, usłyszeć miała od jednego z nich, sąsiada zza ściany: Pani Saloni, czy pani myśli, że myśmy wszyscy nie wiedzieli, że to jest żydowskie dziecko? A do pana Saloni dotarły informacje, że nawet dla innych domów: Nurska 1, Nurska 2, 3, 5 i 6 też nie było to tajemnicą.

Cóż, ulica to może mała: całej długości 65 metrów, zaledwie 6 domów, ale ludzie znacznie ponad jej wymiar. Jedni najbardziej, drudzy przyzwoici. Wiele ulic na Saskiej Kępie, choć już sporo większych, też tak miało.

Wracając na Nurską 4, do mieszkania nr 3: ponieważ o wszystkim tam sprawiedliwym wspomnieć się nie da, pojawi się tylko – w trybie pars pro toto – wspomniane żydowskie dziecko. Które – przypomnijmy – jeśli się urodziło w galaktyce III Rzeszy w roku 1944, skazane na śmierć zostało już dwa lata przed swym przyjściem na świat.

O czym doskonale wiedział – na przykład – historyk

literatury, krytyk literacki, eseista i tłumacz – stukając retorycznie czterdzieści lat temu, esejem Biedni Polacy patrz na getto – do sumienia Polaków. Odpowiedzialność brał też na siebie, bo: Jako dwunastolatek szedł ulicą Warszawy w czasie likwidacji getta. Wtem pojawił się przed nim żydowski chłopiec – najwidoczniej uciekinier z za murów. Przez głowę małego Janka przemknęła myśl, że trzeba mu pomóc. No ale coż może zrobić dwunastolatek? Poczuli się rozgrzeszony, a wraz z nim pojawiło się uczucie ulgi.

Komu się pojawiło, temu się pojawiło...

Dziesięć lat po wydrukowaniu Biednych Polaków... młodszy ze Starszych Panów – łatwo sprawdzić, kto zaczął – wspominał, jak na ulicy okupacyjnej Warszawy przeszedł mimo żydowskiego dziecka: Więc nikt nie śmiał wziąć tego dziecka za rękę. I ja też nie śmiałem. Ale ono mi tego nie darowało, nie dało się wymazać z pamięci. I wiem, że śmierć, która przyjdzie po mnie, to nie będzie staruszka z kosą ani rycerz z filmu Bergmana...

A na Nurskiej 4 – na dachu wspomnianego wyżej garażu pod oknem mieszkania nr 3 – pojawić się miało w 1943 roku dziecko tańczące majufesa. A potem – już w Buenos Aires – miało mieć dwudziestu kilku prawnuków. Bo Nurska, ulica rozpoczynająca swój bieg od ulicy Poselskiej, nieposiadająca wylotu – bynajmniej nie ślepy zaułek...

# Grochów



# Dom jednorodzinny przy Lubieszowskiej 7

Osoby ukrywające się: Henryk Sztukarewski (1910-?), pan Rubinstein (?-?), Mieczysław Śliwa (?-?) z rodzicami, Wincenty Karolicki (1906-?), Lucyna (?-?)

Osoby ukrywające: Michalina Karolicka-Poniatowska (1902-1987)

Medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata: nie

Najpewniejszym, prawie że jedynym – ale niestety, od zawsze i na zawsze, niemy – świadkiem trochę bytowania, trochę ukrywania się kilkorga Żydów w okupowanej Warszawie jest dom.

Niewielki, bo tylko pięciopokojowy. Zbudowany – w końcu lat dwudziestych – w stylu dworku polskiego, stanowiący część osiedla 28 domów jednorodzinnych, ograniczonego ulicami Boremlowską, Żółkiewskiego, Szaserów i Chłopskiego. Zbudowanych przez spółdzielnię mieszkaniową Domy Spółdzielcze, zamieszkiwanych pierwotnie – w dużej części – przez prominentnych działaczy, posłów i senatorów Polskiej Partii Socjalistycznej. Czyli przez dobre towarzystwo, w którym nie tylko zajęcia, sposób myślenia i spędzania wolnego czasu, ale przede wszystkim światopogląd i system wartości były wspólne.

W latach trzydziestych osiedle – taka mikro Saska Kępa, willowe zagłębienie – było już dobrze zagospodarowane, w ogrodach otoczonych siatką wyrosły drzewa. W nocy osiedla pilnował stróż. Wszyscy się tu znali przynajmniej z widzenia, większość utrzymywała ze sobą kontakty towarzyskie. Panowało poczucie bezpieczeństwa i swojskości.

Można jeszcze dodać, że na pobliskim Witolinie znajdował się kibuc, w którym młodzi syjoniści uczyli się uprawy roli przed emigracją do Palestyny.

W domu na ulicy Lubieszowskiej 7, należącym przed 1939 rokiem do pisarki Heleny Boguszewskiej,

zamieszkała już podczas okupacji – wówczas prawie czterdziestoletnia – Michalina Karolicka z czteroosobową rodziną: swą matką, siostrą i dwojgiem dzieci. Ale już bez swego – prawdopodobnie żydowskiego pochodzenia – męża Zdzisława, bo ten w 1939 poszedł na wojnę i nigdy już nie wrócił.

Co pewnie ją skłoniło, jeśli nawet – z powodów materialnych – nie zmusiło, do wynajmowania niektórych pokoi.

Tym lokatorami, raczej może ukrywanymi, choć może, przynajmniej niektórzy, z dobrymi papierami, stali się – można domyślać się, że nieprzypadkowo – Żydzi: Mieczysław Śliwa wraz z rodzicami; Wincenty Karolicki – wuj jej męża; pan Rubinstein – tak słabo mówiący po polsku, że zabroniono mu odzywać się przy obcych; Lucyna – koleżanka szkolna gospodyni oraz Henryk Sztukarewski (właśc. Hojkier). Nazwisko tego ostatniego figuruje w Holocaust Survivors and Victims Database.

Była jeszcze, tzn. była już ukrywana, ale już później i tylko przez krótki czas: kilka dni, mała dziewczynka o nieznanym nazwisku, chowana do piwnicy, gdy do domu przychodziły osoby nieznanymi.

Tyle tylko zapamiętała – z własnych dziecięcych obserwacji i późniejszych przekazów rodzinnych – Danuta Karolicka, późniejsza synowa gospodyni. Wiedząca może jeszcze to, że wymienieni wyżej po wojnie wyjechali do Izraela.



# Dom na ul. Ostrobramskiej 94

Osoby ukrywające: Stanisław Górski (1923-1972), Anna Górka (1909-1997), Helena Troszczyńska z d. Górka (1932-?)

Osoby ukrywające się: Jerzy Rudnicki (1909-?), Szlamek Eisenfuss (Stanisław Rudnicki) (1923-?)

Medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata: tak (1986 - Anna i Stanisław Górscy, 1986 - Helena Troszczyńska)

Miejsce tych wydarzeń to – typowy w tej części dzielnicy – dwurodzinny piętrowy dom usytuowany w narożniku ulic Ostrobramskiej i Łukiskiej. Głównymi bohaterami (i w ogóle, zważywszy okoliczności, bohaterami, takimi niepotrzebującymi przymiotnika) są: mniej więcej trzydziestoletni Stanisław Górski (hydraulik), jego żona Anna (dorabiająca – jak i gdzie popadnie – gospodyni domowa) oraz ich kilkunastoletnia córka Helena.

Mając sześciolatniego brata, Eugeniusza. Który – ze względu na wiek jest tylko uczestnikiem biernym, nieświadomym świadkiem. Co jednak nie odsuwało od niego niebezpieczeństwa, bo odpowiedzialność za pomoc Żydom była przecież zbiorowa. Jednak po wojnie – według relacji jego siostry – miał przykrości od kolegów, że on jest synem ludzi, którzy przechowali Żydom. Mówili, że żydowski usługujący jest.

Ci „dowcipni” koledzy – oczywiście i na pewno – nie wysali takich poglądów z mlekiem matki, raczej „nauczyli się” tego w domu. Od rodziców. A ci rodzice są sąsiadami Górskich. I wielu z nich wie – bez wątplenia – o ukrywanych tuż obok Żydach. Język trzymają jednak – po

sąsiedzku solidarnie? po ludzku przyzwoicie? współczując prześladowanym? – za zębami. Więcej nawet: mieszkająca w sąsiednim domu Irena Holenicka nie tylko dostarcza czasem Eisenfussowi i Rudnickiemu pożywienie, ale sama ukrywa żydowskie dziecko.

Jak to wszystko razem wzięte – polskie dziecięce słowa (wcale nie niewinne) oraz polskie czyny dorosłych (skądinąd co najmniej chwalebne) – pogodzić w głowie?

Można przyjąć, że kwestia ukrywania Żydów jest problemem w dwojakim tego słowa znaczeniu. Najpierw istnieje jako część otaczającego świata rzeczywistego, domagająca się działania lub zaniechania. Później, kiedy przestaje być praktyczną sprawą dnia codziennego, funkcjonuje już tylko jako temat z zakresu wiedzy o przeszłości. Egzamin trzeba zdać osobno z jednego i drugiego znaczenia. Ale nas dotyczy tylko to drugie.

Więc spróbujmy się zapoznać się z wydarzeniami poprzedzającymi, ich ciągiem dalszym, oraz kontekstem sytuacyjnym pobytu dwóch Żydów na Ostrobramskiej, które wyglądają jak następuje:

Historia Górskich, kiedy jest wspólna z dwoma

młodymi mężczyznami zbiegłymi ze stołecznej dzielnicy zamkniętej: Szlamkiem Eisenfussem i Jerzym Rudnickim, trwa prawie pół tysiąca dni.

Kończy się dokładnie 13 września 1944. Jest to środa: Powstanie Warszawskie trwa już 44 dni, Niemcy wysadzają most Poniatowskiego, oddziały Armii Czerwonej wkraczają na przedmieścia Pragi. I Żydzi z Ostrobramskiej nie muszą się już ukrywać.

Rozpoczynają się zaś te – sprawiedliwe między narodami świata – zaszłości dokładnie 8 maja 1943.

Dla Górskiego to – póki co – okupacyjny dzień jak inne. Tyle że sobota, więc wcześniej wraca z pracy, żona każe mu skopać ogródek.

Z którego nie widać chyba dymów unoszących się od wielu dni z płonącego getta. Ani tego, że na lewym brzegu miasta – jak zapisał 8 maja 1943 kronikarz – Polowanie na Żydom [zbiegłych z płonącego getta] trwa dalej z całą zapamiętałością, egzekucje dokonują się na ulicach – strzelają do Żydom nie tylko gestapowcy, żandarmi, Ukraińcy itp., ale czasem i ochotnicy z wojska, urzędnicy itd. Wskazują Niemcom też różne elementy:

policjanci granatowi, tajniacy – ale zdarza się i pokazanie ofiary przez przechodzącą kobietę z dzieckiem! Z drugiej strony – oczywiście nierównie częściej – ludność reaguje poczuciem najwyższej zgrozy, każda scena egzekucji pozostawia głębokie wrażenie na przypadkowych jej świadkach.

To po tzw. aryjskiej stronie. A co w – istniejącym jeszcze – getcie?

Dla Żydów warszawskich w dzielnicy zamkniętej ósmy maja 1943 to ważna data: 19 dzień powstania w getcie, bunkier dowództwa Żydowskiej Organizacji Bojowej na Miłej 18 zostaje odkryty przez Niemców. Ginie dowódca ŻOB-u Mordechaj Anielewicz. Walki się powoli kończą. Wkrótce dowodzący siłami niemieckimi generał może zaraportować swym władzom w Berlinie: Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk in Warschau mehr! (Nie ma już żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej w Warszawie).

Jakie to ma znaczenie dla Szlamka Eisenfussa i Stanisława Rudnickiego?

Otóż dokładnie wtedy, wbrew praktyce językowej, używanie określenia „strona aryjska” – ze względów: logicznego i praktycznego – dla opisu sytuacji w mieście przestaje być zasadne. Bo – z logicznego punktu widzenia – strony muszą być co najmniej dwie. A faktyczna i formalna likwidacja getta, tzn. punktu, w którym Żydzi mogliby – przynajmniej do czasu – przebywać w stolicy, automatycznie pociągnęła semantyczną likwidację tak

zwanej aryjskiej strony. Inaczej mówiąc: po wymazaniu z mapy miasta strony żydowskiej, „aryjskie” stało się całe miasto. Dla Żydów nie ma miejsce nigdzie. Ale to postulat, bynajmniej nie rzeczywistość. Praktyka wojny warszawsko-żydowsko-niemieckiej jest bowiem inna:

Miasto jakby zaczyna być znów – w bardzo specjalny sposób – polsko-żydowskie. Bo w 1943 w stolicy (już poza miejscem i czasem getta) żyje, mieszka, ukrywa się – między setkami tysięcy tych polskich mieszkańców, których wydany półtora roku wcześniej wyrok bezwyjątkowej zagłady nie dotyczy – może mniej Żydów niż było przed wojną w Belgii, ale na pewno więcej niż było ich w 1939 w Brukseli. Przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy.

Wśród nich: trzydziestoletni Szlamek i dwudziestoletni Stanisław.

Ich pierwsze dni – po wyjściu z płonącego getta – wyglądają tak:

Pojechaliśmy do znajomych Polaków w różnych okolicach Warszawy, ale nigdzie nie znaleźliśmy schronienia ani pomocy, ponieważ ludzie się bali, bo to groziło karą śmierci za nasze pochodzenie. I tak wałęsaliśmy się przez 7 dni. Najbardziej baliśmy się konfidentów, gdyż w każdej chwili mogli nas wydać w ręce bandytów hitlerowskich. Nagle stał się cud: zauważyłem człowieka kopiącego ziemię w ogródku.

Już wiemy, że to Górski.

Żydzi proszą go wodę. Na pytanie: Skąd wy, chłopaki,

jesteście? odpowiadają, że z getta. I ruszają w dalszą drogę. O tym, że nie stała się ona tą najdalszą, zdecydowało pięć – innych niż te dziecięce wyżej wspomniane – polskich słów: Chłopaki, mam dla was schronienie.

Nowym locum – zdaniem Eisenfussa: Niech się dziś najpiękniejsze hotele świata schowają – jest piwnica w zbombardowanym domu naprzeciwko domu Górskich. Ta ruina ma być schronieniem niby na jedną noc, ale okazuje się – jak już wiemy – że tych nocy i dni było prawie pięćset. Nie od razu i nie bez problemów, co zapamiętała Helena: W domu zdarzały się niesnaski, żeby zaniechać, żeby nas nie narażać. Mama nie zgadzała się, groziło śmiercią. A potem najwięcej robiła, tata do pracy jeździł.

(Sprawiedliwym – jest to prawidłowość – człowiek się nie rodzi, sprawiedliwym człowiek się powoli staje).

I jeszcze tylko jedno, na zakończenie: Żeby żyć trzeba nie tylko mieć gdzie spać. Trzeba jeszcze jeść. A żeby jeść – trzeba mieć pieniądze. Ani ukrywający, ani ukrywani ich nie mają. Ale głowę to oni mają. Więc w piwnicznej kryjówce pędzą sobie razem bimber. Który potem sprzedaje Anna, zarabiając w ten sposób na utrzymanie czteroosobowej rodziny. I dwóch ukrywanych przez tę rodzinę Żydów.

Tak było.

Co skłania do myślenia, że cała ta relacja o ukrywaniu dwóch Żydów na Grochowie (i nie ta tylko) przeznaczona jest dla ludzi bardziej skłonnych do rozumienia niż do sądzenia.





# Dom przy ulicy Łukiskiej

Osoby ukrywające: Leon Bukowiński i Jadwiga Bukowińska (de domo Jaskółowska)

Osoby ukrywające się: 22 osoby z rodzin Borensztajnow, Berlińskich, Rokmanów, Strosbergów

Medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata: tak (1964)

Jeśli urodziłeś się w ostatnim roku XIX stulecia i wychowałeś się w Warszawie, i jeśli w pamiętnym listopadzie 1918 roku brałeś udział w rozbrajaniu Niemców w stolicy, następnie walczyłeś przez prawie dwa lata – jako ochotnik – w wojnie polsko-bolszewickiej, za co odznaczony zostałeś medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, i jeśli – w tzw. II Rzeczypospolitej – edukację kończąc na tzw. małej maturze, pracowałeś – przynajmniej przez jakiś czas – jako urzędnik Zarządu Miejskiego, i jeśli – w swoim czasie – zostałeś mężem Jadwigi oraz ojcem dwóch synów: Bohdana i Tadeusza, tworząc rodzinę – z ogromnym udziałem żony – głęboko religijną, co wyrażało się także w praktykowaniu... w życiu codziennym zasady, że katolicy winni nieść pomoc ludziom, którzy znaleźli się w potrzebie, i jeśli dla bliskich zbudowałeś – bezpośrednio przed wojną – dom na Grochowie, zniszczony w znacznym stopniu podczas obrony miasta we wrześniu 1939 roku, w którym – już podczas okupacji – udało ci się systemem gospodarczym wyremontować dwa pokoje, tak było w nich przynajmniej światło i woda, oraz ubikacja – ale już w podwórzu, i

jeśli w Generalnej Guberni, prawdopodobnie już w wczesnym okresie, ale może dopiero w roku 1941 – powodując się nieznanymi motywami, w całkowicie nieznanych okolicznościach – zostałeś funkcjonariuszem (podobno tylko pracownikiem laboratorium kryminalistycznego) tzw. Kripo, czyli Polskiej Policji Kryminalnej, formacji śledczej: podporządkowanej policji niemieckiej; złożonej z 650 zweryfikowanych przez Niemców pracowników dawnego Urzędu Śledczego Policji Państwowej Miasta Stołecznego Warszawy; nieumundurowanej, uzbrojonej, zajmującej się w zasadzie zwalczaniem przestępstw pospolitych, ale także wykonywaniem ekspertyz technicznych dla Gestapo oraz inwigilowaniem i ściganiem wszelkich osób poszukiwanych, w tym – od pewnego momentu – zbiegów z getta, co wielu kripowców uprawiało na własną rękę, zajmując się ich szantażowaniem, czyli tzw. szmalcownictwem, i jeśli najpierw – jako funkcjonariusz, czy pracownik Kripo, wykorzystując zdobyte per fas et nefas informacje i policyjne znajomości – uniemożliwiałeś aresztowanie ukrywających, niszcząc donosy na ich

i ostrzegając ich oraz wyprowadzałeś Żydów z getta przez gmach sądów na Lesznie i zdobywałeś dla nich fałszywe dokumenty, jednemu nawet pomogłeś zbiec z Pawiaka, i

jeśli potem – już jako stały współpracownik konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom „Żegota” – pomagałeś znaleźć dla zagrożonych bezpieczne schronienie, transportowałeś ich samych – nie tylko w obrębie Warszawy – do tych kryjówek, dostarczałeś im systematycznie żywność i pieniądze, i jeśli – jakby tego było mało – udzielałeś licznym Żydom – krócej lub dłużej – schronienia we własnym domu, a gdy stawało się to niemożliwe w dwupokojowym mieszkaniu, umieszczałeś ich u krewnych i przyjaciół,

to co najmniej 22 uratowanych Żydów – z rodzin Borensztajnow, Berlińskich, Rokmanów, Strosbergów – zapewne zgodziłoby się z twierdzeniem, że Ty – Leon Bukowiński i Twoja żona Jadwiga – Sprawiedliwi między narodami świata, wygraliście – nie tylko dla wszystkich Polaków – II wojnę światową. Wtedy kiedy była ona wojną o człowieczeństwo.



# Mieszkanie w domu przy Al. Jerzego Waszyngtona 80

Osoby ukrywające: Stefan Pokropek (1906-1943), Eleonora Pokropek (1909-1974) i trójka ich dzieci: Barbara, Irena i Jerzy

Osoby ukrywające się: Mordechaj "Rysiek" (?-1943), "Marysia" Zawoźnik

Medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata: tak (2001)

Stefan Pokropek wychowywał się w rodzinnym Milanówku. Wcześnie się ożenił, rychło został ojcem.

Co go bynajmniej nie przykuło do miejsca. Przeciwnie: mieszkać miał jeszcze, zawsze z rodziną przy boku, m.in. w Wilnie i we Lwowie. W każdym miejscu po parę lat. Zarabiając – nad Wilejką – jako niewykwalifikowany robotnik budowlany. Nad Pełtwią zatrudnił się już jako profesjonalny murarz.

Potem przyszła kolej na Warszawę.

Nad Wisłą znalazł lepiej płatne oraz trochę bardziej niezależne – w sensie, że nie zespołowe – zajęcie: został mianowicie kamieniarzem na Powązkach. Co mu pozwoliło – przed wojną – pracować tak jak najbardziej lubił, tzn. sam sobą zarządzając, oraz zapewniało godziwą egzystencję powiększającej się rodzinie. W skład której wchodził – poza panem domu, urodzonym w roku 1906 – o trzy lata młodsza żona Eleonora, dwie córki: Barbara: urodzona w roku 1927 i Irena: urodzona dwa lata później, oraz syn Jerzy, który przyszedł na świat pięć lat przed wojną.

Gdy pokojowe czasy minęły Pokropkowie nadal

nie przędli cienko. On, niekwestionowana głowa domu – ewidentnie człowiek rodzinny i odpowiedzialny – hołdował chyba dewizie, że gdzie cienko, tam się rwie. Niemniej troska o dobro rodziny, tak jak je rozumiał – stale obecna w jego życiu – nie była dla niego jedyną dyrektywą postępowania. Wspomniane bowiem peregrynacje Pokropkowe po kraju, odbywane przecież głównie – w latach i z powodu wielkiego kryzysu ekonomicznego – w poszukiwaniu nie tylko pracy i chleba, ale i godnego życia, zdają się świadczyć też i o tym, że lubił i musiał majsterkować przy swoim losie, że z alternatywy: zrobić coś – czy może lepiej nic nie robić? nagminnie pomijał to ostatnie. Bo go wiecznie coś i gdzieś nosiło.

Z czego może i wziął się akces do PPS-u. Każący myśleć o poglądzie młodego Pokropka na ówczesną Polskę. Takim mianowicie, że warto by zmieniła się na lepszą, ale samo się to nijak nie robi. A zwłaszcza bez niego. O jego działalności w szeregach partyjnych – w istniejących świadectwach – niestety cisza.

Co nie dziwi, bo działanie w zespole, tym bardziej życie organizacyjne chyba mu nie pasowało. Za bardzo

lubił sytuacje, gdy wszystko zależało tylko od niego samego. I najchętniej funkcjonował – jak wielu naprawdę inteligentnych ludzi bez specjalnego wykształcenia – w trybie samotnego wilka. Nałogowo kierując się zdrowym rozsądkiem, niechętnie bywając posłusznym czyimkolwiek poleceniom i jakimkolwiek regułom, lekce sobie ważąc opinię otoczenia. Niewykluczone, że pozostając nawet z nim w permanentnym – choć może i nieujawniającym się głośno – konflikcie.

Czy są to cechy charakteru i postępowania potencjalnego bohatera dwóch narodów: polskiego i żydowskiego oraz Sprawiedliwego między narodami świata?

Cóż, zważywszy, że ratowanie Żydów wśród wszystkich form działalności konspiracyjnej było, oględnie rzecz nazywając, najmniej w społeczeństwie polskim popularne – to może na bohatera się nadawał się. Z czym jak z czym, ale z sądami postronnych, to się Pokropek nie liczył.

Ale co zrobić z jego nikłą chęcią współpracowania z innymi? Ukrywanie nawet jednego zbiega z getta,



było – bardziej niż się dzisiaj sądzi – przedsięwzięciem zbiorowym, prawie zawsze ponad możliwości jednego człowieka, a nawet tak licznej – jak pokropkowa – rodziny. Więc może się na bohatera nie nadawał?

A jeśli już mowa o jego rodzinie, to dla tego Sprawiedliwego strach przed wyrokiem, jeśli się w ogóle pojawiał, to musiał zaczynać się – umownie problem ujmując – grubo powyżej kary śmierci. Dla niego i jego bliskich. Tak myślał i tak czuł. Ale wcale nie musiał być to punkt widzenia, czy raczej punkt wierzenia pani Eleonory oraz Barbary, Ireny i Jerzego. I trzeba było podjąć decyzję za nich. To potrafił i do tego ich przyzwyczaił.

Można takie kalkulacje kontynuować jeszcze długo, ale – tak czy owak – kończą się on stwierdzeniem, że bohaterem człowiek – jakim by nie był – nie rodzi się, ale się nim staje. A ten status musiał na Pokropka poczekać. I to wcale nie tak krótko.

Co prawda, kiedy się – we wrześniu 1939 – wypełniły dni, wcale nie myślał ginąć latem, lecz – choć nie został zmobilizowany – pierwszy stanął w potrzebie. Bronił stolicy, organizując ludzi do obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, dbając na równi o bliskich i postronnych, tak aby – w sytuacji wielodniowego, całodobowego ostrzału artyleryjskiego, nalotów i pożarów – wszyscy byli choć w miarę bezpieczni. I by mieli co jeść. Jednak za troskę obywatelską okazaną na wojnie, choć to skądinąd chwalebne, medali się nie dostaje. A tym bardziej za kwestionowanie rozkazów wojskowej władzy. Co mu się przydarzało.

I tak przeszła koło nosa pierwsza koniunktura na bohaterstwo.

Ale akcje zdrowego rozsądku – już na okupacyjnej giełdzie życia – nadal stały wysoko.

I tak, zaraz po kapitulacji miasta, rodzina Pokropków zamieszkała w – wynajętym jeszcze przed wrześniem – mieszkaniu na Waszyngtona 80. Poprzednie, w drewniaku na Radzymińskiej, Pokropek uznał za potencjalnie bardzo zagrożone. I dom faktycznie spłonął od niemieckiej bomby. Miał ten kamieniarz umiejętność przewidywania,

więc i miał gdzie mieszkać. I nie musiał, jak naprawdę wielu innych, koczować w zbombardowanym mieście po piwnicach czy strychach.

I w ogóle podczas okupacji – od samego początku – mocno stał nogami na ziemi. Nie czekał, jak wielu innych, na mannę z nieba po – rzekomo rychło mającym nastąpić – wyzwoleniu, ale załatwił sobie – bez wahania i bez skrupułów – pracę u Niemców: jako murarz. Pracę źle widzianą – oczywiście ze względu na wraźcego pracodawcę – przez tę część polskiego otoczenia, które uważało się za niepokalanie patriotyczne. Pracę dającą dochody może i marne, ale za to zapewniającą względne bezpieczeństwo. Mianowicie zwolnienie od – zagrażającego dosłownie każdemu dorosłemu Polakowi i każdej dorosłej Polce – przymusowego wywiezienia na roboty do Rzeszy. Itzw. łapanki były mu niestraszne. Mógł – kiedy chciał i jak chciał (miał rower) – kręcić się po mieście. Na przykład w poszukiwaniu dodatkowych zarobków.

Teraz, kiedy jasne jest, co Pokropek robił jako mieszkaniec Generalnej Guberni, trzeba powiedzieć jeszcze, co robił jako tzw. warszawski rodak. Otóż – ponieważ na Waszyngtona 80 jednak się nie przelewało – pędził (wcale nie on jedyny) w piwnicy bimber. Bardziej na sprzedaż niż na domowy użytek. Ze zbytem – jako że, wszyscy, niezależnie od narodowości, wieku, czy przedwojennych przyzwyczajęń, mocno wtedy pili – Eleonora P. problemów nie miała. A każdy grosz się liczył. Bo jeść trzeba.

Nie bardzo natomiast wiadomo, jak przyszło działać Pokropkowi w początkowych latach okupacji jako – bądź co bądź – obywatelowi tej, co nie zginęła.

Że nie zapomniał o Polsce i że – na pewno bardzo wcześniej – przystąpił do Związku Walki Zbrojnej nie ulega wątpliwości. Ale pewne też, że – nie czekając z innymi z ZWZ na ogólnonarodowe powstanie z jego ciągle oddalającym się terminem wybuchu – ku Niepodległej znów miał pójść swoją własną ścieżką. Na której jeden – na pewno celny – strzał przyszło mu oddać – bardzo późno. I tylko raz. Wiadomo nawet dobrze kiedy: 23

czerwca 1943.

A to wszystko nie tylko dlatego, że był, jaki był. Ale także – może nawet głównie – przez Żydów.

Z którymi wcześniej, przed wojną – prawdopodobnie – żadnych kontaktów nie miał. Może dlatego, że, w II Rzeczypospolitej obie grupy: większość polska i mniejszość żydowska żyły osobno, każda w swoim własnym świecie. A później – tzn. podczas wojny – wszystkich Żydów Niemcy zamknęli w getcie. Jak najszczelniej.

Mimo to zdarzało się jednak, że niektórych, bardzo nielicznych, za dnia – oczywiście pod strażą – codziennie sami wypuszczali, nawet wywozili ciężarówką, za mur. By w wybranych miejscach – nazywano je wtedy placówkami – pod nadzorem niemieckim wykonywali jakieś ciężkie prace. Na noc oczywiście wracając do getta.

Na takich żydowskich placówkarzy, pracujących – w kilkudziesięcioosobowej grupie – przy remoncie torów kolejowych na Pradze Północ, natrafił Pokropek. On ich nie szukał, oni – po prostu – sami znaleźli się na trasie jakiejś jego rowerowej wędrówki po mieście. Rozpoczął z nimi – przekupując strażnika bimbrem – rozmowę. Owocną dla obu stron, bo zakończoną nawiązaniem stałych kontaktów par excellence handlowych: on dostarczał robotnikom, z pomocą syna, żywność, oni – w zamian – dawali mu rzeczy przemycane z getta. Które jego żona Eleonora sprzedawała na bazarze, kupując za zarobione pieniądze żywność dla kontrahentów. I dla własnej rodziny.

Ludzie nieskazitelnie prawi, nieugięci strażnicy moralności, gotowi powiedzieć, że absolutnie nie należało – wedle powiedzenia aforysty – piec przy pożarze getta własnej pieczeni.

Można, ale ani nie potrzeba, ani nie warto, a nawet jakoś nie wypada z takim poglądem dyskutować.

Bo to nie dzisiejsi krytycy narażali wtedy życie. Swoje i swoich rodzin. A tak w ogóle, jeśli ktoś ma prawo do kategoriycznych ocen, do wydawania sądów, to tylko i wyłącznie głodni w getcie. Którzy – dzięki Pokropkom – przez chwilę byli mniej głodni.



A poza tym historia ta ma ciąg dalszy. W którym wydarzenia nabierają już prawdziwie sprawiedliwego rozmachu. I tempa. Także dramatyzmu. Oraz – tu już nie da się mieć wątpliwości – bohaterskiego wymiaru.

Ich czasem jest pierwsza połowa roku 1943.

Getto jest już po wielkiej – przeprowadzonej latem 1942 roku – akcji likwidacyjnej w stołecznej dzielnicy zamkniętej. Prawie 300 tys. Żydów zostaje zamordowanych w Treblince. Przed pozostałymi w getcie, a jest ich kilkadziesiąt tysięcy, staje wybór: czekanie na niechybną śmierć w komorach gazowych, ucieczka z mury, albo beznadziejna walka. Do której są już chętni, ale nie mają broni.

Ewentualności wymienione jako druga i trzecia wciągają bez reszty do działania Pokropka. I stają się rzeczywistością kolejnych dni powszednich całej jego rodziny.

Wiosną 1943 zamieszkuje na Waszyngtona siedemnastoletni – nieznany z nazwiska – Mordechaj z Góry Kalwarii, wkrótce dołącza do niego – również anonimowe – roczne dziecko Racheli Zawoźnik z Łodzi. Ponieważ dwupokojowe mieszkanie następnych już nie pomieści, dla kolejnych Żydów: czwórki Kossowerów Pokropek wynajmuje mieszkanie w Pustelniku.

A placówkarze, wśród których są emisariusze Żydowskiej Organizacji Bojowej, otrzymują od niego regularnie już nie tylko żywność, ale także medykamenty. Oraz – przede wszystkim – broń. Ani jednego, ani drugiego nie dostaje od żadnej polskiej organizacji podziemnej organizacji, a kupuje – na własną rękę – na czarnym rynku. Płaci pieniędzmi otrzymanymi od ŻOB-u.

Wczesnym rankiem 19 kwietnia 1943 w getcie padają pierwsze strzały do Niemców. Można dopuścić, że już wtedy – a na pewno później – Żydzi strzelali także

z pistoletów dostarczonych przez Pokropka.

Po upadku powstania w getcie – było to dokładnie, 23 czerwca 1943 – na Waszyngtona ma się odbyć konspiracyjne spotkanie. Celem jest kupno broni. Gospodarz i dwójka bojowców podziemnego ŻOB-u, którzy chcą kontynuować walkę w lesie, czekają na dostawcę. Zamiast niego pojawiają się Niemcy. Ranny w walce Pokropek, nie chcąc wpaść żywy w ręce wroga, strzela sobie w głowę.

I to jest ten jeden – wspomniany wyżej – na pewno celny strzał, który oddał do drugiego człowieka.

Wiele lat po wojnie Władysław Bartoszewski mówi, że ten tylko może powiedzieć, że zrobił wszystko dla ratowania Żydów, kto oddał swe życie za bliźniego.

Pokropek tyle w życiu mógł, że – teraz już wiemy na pewno – i to może zrobić.

## REALIZACJA:

[Stowarzyszenie FestivALT](#) – powstała w 2016 roku w Krakowie żydowska organizacja działająca na przecięciu sztuki, aktywizmu i edukacji, podejmująca trudne i aktualne wątki złożonych relacji polsko-żydowskich w dzisiejszej Polsce. Działania fundacji koncentrują się na trzech filarach: rzecznictwie i aktywizmie, pamięci i dziedzictwie żydowskim oraz współczesnej sztuce żydowskiej. Podejmowane przez FestivALT interwencje lokalne doprowadziły m.in. do ograniczenia handlu wizerunkami tzw. Żydów na szczęście oraz usunięcia antysemitycznych przedstawień z tradycyjnych szopek i jasełek. Jako niezależny kolektyw artystyczny fundacja co roku organizuje festiwal alternatywnej sztuki żydowskiej w Krakowie.

[Stowarzyszenie „Wiatrak”](#) – dzielnicowa organizacja powstała w 2016 roku z inicjatywy mieszkańców i mieszanek Goławia, Grochowa, Kamionka i Saskiej Kępy. Do priorytetów organizacji należą: troska o rozwój uwzględniający potrzeby lokalnej społeczności, ulepszanie przestrzeni publicznej, zwiększenie jawności działań urzędniczych, ochrona rodzinnych ogrodów działkowych i pomoc zwierzętom w schroniskach. Członkowie i członkinie aktywnie współpracują z innymi ruchami miejskimi oraz działają w radach osiedli, Dzielnicowej Komisji Dialogu Społecznego i dzielnicowym zespole ds. budżetu partycypacyjnego (BP).

[Fundacja Zapomniane](#) – powstała w 2014 roku w Warszawie fundacja, której misją jest poszukiwanie, lokalizowanie, badanie i upamiętnianie zapomnianych grobów ofiar Holokaustu, a także angażowanie lokalnych społeczności do odtwarzania indywidualnych żydowskich losów. W ramach projektu „30 macew w 30 dni” (2017) fundacja oznaczyła miejsca Zagłady w południowej i wschodniej Polsce. Na specjalnie stworzonej – i regularnie aktualizowanej – mapie masowych grzebalisk dzięki staraniom fundacji figuruje w sumie już ponad 100 takich miejsc. Dzięki obudowaniu każdej z lokalizacji szczegółowym kontekstem historycznym, załączeniu listy z nazwiskami ofiar oraz szczegółowymi informacjami o badaniach terenu i procesie upamiętnienia, wszystkie one składają się na nieustannie rozbudowywane archiwum żydowskich grobów wojennych.

[Fundacja Żyd Niemalowany Muzeum Wieczny Tułacz](#) – realizowany od 2006 roku projekt wystawienniczo-edukacyjny, wykorzystujący bogatą prywatną kolekcję obrazów, oryginalnych obrazów i rycin powstałych między XV a XX wiekiem. W skład kolekcji wchodzi: dziewiętnastowieczne drzeworyty sztorcowe (Andriolli, Brandt, Chełmoński, Fałat, bracia Gierymscy, Gerson, Gottlieb, Grottger, Kossakowie – ojciec i syn, Kostrzewski, Matejko, bracia Pillati, Rodakowski, Siemiradzki, Wierusz-Kowalski czy Witkiewicz), judaica rysowników dwudziestowiecznych (Ephraim Moses Lilien, Lucien Madrassi, Joseph Penell, Hermann Struck) i ryciny biblijne (Adrichom, Audran, Boydell, Le Brun, Calmet, Coypel, Heemskerck, Luyken, Poussin, Rembrandt, Ribera, Rubens, Sadeler, Schedel, Suruge, van der Werff i Wierix), prezentowane dotychczas w ramach ponad 60 wystaw i w 5 publikacjach.

## PARTNERZY:

[Dom Sztuki](#) – powstała w 2021 roku na warszawskim Grochowie przestrzeń integracji i współpracy, od 2023 formalnie fundacja. Miejsce zamieszkania jej członków i członkiń, prowadzenia ogrodu spółdzielczego oraz organizacji wydarzeń kulturalnych takich jak spotkania, warsztaty czy pokazy filmowe.

[Muzeum POLIN](#) - Muzeum Historii Żydów Polskich, otwarte w 2014 roku w Warszawie, to instytucja, która w unikalny sposób łączy naukę, sztukę i edukację, badając 1000-letnią historię Żydów w Polsce. Muzeum POLIN jest nie tylko miejscem wystaw, ale także przestrzenią, która angażuje lokalne społeczności i promuje dialog międzykulturowy. Jego wystawy opowiadają historię Żydów polskich od średniowiecza po współczesność, z uwzględnieniem trudnych tematów takich jak Holocaust, oraz pokazują bogatą kulturę, tradycję i wkład Żydów w rozwój Polski. W ramach swojej działalności, Muzeum POLIN organizuje liczne wydarzenia edukacyjne, konferencje, warsztaty oraz programy artystyczne, będąc centrum spotkań i dialogu w obszarze polsko-żydowskich relacji.

## FINANSOWANIE:

Projekt finansowany w ramach Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO), wspieranego przez Unię Europejską w ramach funduszu NextGenerationEU.



zapomniane



dom | sztuki



Opracowanie tekstów: Paweł Szapiro  
Kwerenda i Redakcja: Aleksandra Kumala  
Tłumaczenie: Soren Gauger  
Ilustracje: Anna Rabbit  
Opracowanie Marki: Anna Roszczyk  
Lektorzy: Dorota Lilienthal, Majk Hercberg, Paweł Szapiro  
Skład: Łukasz Grochowski, Lena Rubenfeld  
Dźwięk: Lech Rudzki

Współpraca merytoryczna: Aleksandra Janus, Magda Rubenfeld Koralewska

